

Warszawa dnia 31 Stycznia / 12 Lutego 1868 roku.

Nr 6. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

(Cenny nabytek.— (Do str. 44-ej).— Rysował Józef z Mazowsza,— rytował Franciszek Szymborski).

SIEROTA.

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 5).

Teraz to Helenka stała się aniołem opiekuńczym rodziny, zmieniła się nie do poznania; cicha, poważna, milcząca, gotowa na każde skinienie, przytomna do zadziwienia, pamiętała i rządziła całem gospodarstwem, dzień i noc wszystko dla chorego było pod ręką, odnosiła i starała się niemal o robotę dla zgnębionej tem nowem nieszczęściem Anielki, pomagając jej i pocieszając jak umiała. W kąciku

zaś, gdy pewną była że ją nikt nie widzi, z serdecznym płaczem wołała o miłosierdzie i litość nad swoją przybraną rodziną. Jakoś Bóg, któremu zaufała bez granic i tą razą wysłuchał jej próśb gorących, choroba niebezpieczna przesiliła się na koniec i Michaś zwolna przychodzić zaczął do zdrowia. W tym też czasie przyszedł list od brata p. Sosnowskiej, wzywający ją do siebie. Wdowiec wydawał córkę za mąż, potrzebował więc doświadczonej kobiety, przybranej matki, coby i w wyprawę potrzebną zaopatrzyć jego córkę umiała i dom po jej wyjeździe zagospodarować mogła, dodając: że ułożywszy się z siostrą, chętnie weźmie do swego domu Michasia, by wraz z jego synem rokiem tylko młodszym, kończył szkoły w Lublinie. Było to więcej, aniżeli kiedykolwiek spodziewać się mogła biedna kobieta. Poczekawszy czas jakiś aż do zupełnego wyzdrowienia Michasia, wybrała się w drogę. Na nieszczęście mrozy jeszcze trzymały, nie tak już wprawdzie silne, jednak bez futra puszczać się w drogę było niebezpiecznie. A niestety! futro i wiele innych rzeczy leżało w zastawie. Pieniądze, które brat p. Sosnowskiej przysłał, rozeszły się na spłacenie gwałtowniejszych długów i przeróżnych potrzeb domowych, z małą bardzo pozostałą kwotą trzeba było zajechać aż do Lublina. Anielka zestraszona chorobą Michasia, puścić matki w drogę bez futra żadną miarą nie chciała, lecz wystarawszy się o zyskowną ale nader trudną robotę, gwałtownie wzięła się do pracy, pocałunkami i pieszczotami wypraszając się od spoczynku, do ktorego prawie gwałtem zniewalać ją trzeba było. Wzrok, ten najszlachetniejszy zmysł człowieka, jest zarazem najpotrzebniejszym, dla tego bardzo oględnie należy się z nim obchodzić. Anielka nigdy nie przypuszczała, aby przez zbytek pracy zaszkodzić sobie mogła, widziała wprawdzie ociemniałych, lecz w skutek smutnych wypadków a nigdy z wysilenia w pracy. Chociaż więc z ciągłego ślęczenia nad delikatnemi haftami różnego rodzaju, zaczęły jej czasem wzrok przyćmiewać czarne i czerwone plamy, bólu jednak oczu nie doświadczała nigdy, nawet w ostatnich dniach nieustannej roboty. To też po wyjeździe matki, Anielka lekceważąc jej przestrogi i rady zamiast odpocząć, z nową gorliwością zabrała się do roboty, pragnąc za powrotem ukochanej matki, który miał nastąpić za kilka tygodni, zrobić jej niespodziankę przez wykupienie zastawionych rzeczy i spłacenie pozostałych jeszcze długów, zaciągnionych na chorobę Michasia. Czuła się także w obowiązku kupienia sukienki dla sierotki. I pracowała znów ciągle po dniach i nocach. Już minęło kilka tygodni, rzeczy wszystkie wykupiono, lecz Anielcia bladła coraz bardziej, coraz częściej przykładała ręce do głowy i oczu i chętniej na prośby brata i Helenki udawała się na spoczynek. Jednego dnia raniej jak zwykle obudziła się sierotka, uprzątnęła cichutko pokój, bo Anielcia przeciwko swemu zwyczajowi jeszcze spała, od czasu do czasu tylko Helenka z trwogą zauważała rzucanie się i niespokojny sen siostry. Już dobrze się rozwidniło, Michaś w drugim pokoiku krzątać się zaczął, Helenka modliła się przed ołtarzykiem przybranym w sztuczne kwiatki, gdy Anielka zerwała się gorączkowo, bledsza jak zwykle trąc silnie oczy. Wyszła z łóżka szukając jakby po omacku ubrania.

— Zdaje mi się, mówiła z cicha do siebie jakby bojąc się zbudzić śpiących—żem długo spała, a tu jeszcze taka noc... trzeba jednak wziąść się zaraz do roboty... muszę dziś wykończyć te kołnierze ale więcej nie wezmę już haftu złotem, bo bardzo męczy biedne moje oczy... Tak szepcząc ubierała się prędko, szukając rękoma wszystkiego.— Miałam tu gdzieś zapałki i świecę, mówiła jeszcze po chwili, wodząc rękoma po stole. Patrzącej na nią błędnemi oczyma sierotce nogi się zachwiały, po cichutku na palcach postąpiła parę kroków i skinęła na Michasia, konwulsyjnym ruchem pokazując siostrę.
— Gdzież te zapałki, mówiła zniecierpliwiona już Anielcia, wodząc ciągle rękoma z otwartemi błędnie oczami,—a tak też ciemno, najmniejszego jeszcze brzasku.

Michaś osłupiawszy na chwilę, gwałtowny z natury, zanim Helenka powstrzymać go mogła, poskoczył do siostry a uchwyciwszy jej ręce: Anielciu, zawołał przeraźliwie, co ty mowisz?—przecież to już dzień, duży biały dzień.

— Dzień mówisz! podchwyciła stłumionym głosem cała drżąca,—duży biały dzień! a dla czegóż mnie ciemno? Dzień! a dla mnie taka straszna noc?

— O! rozumiem! teraz rozumiem! powiedziała ciszej,—jam oślepła. Jam ślepa! zawołała rozdzierającym serce głosem, z rozpaczą załamując ręce.
— O! biedna mamo! biedne wy dzieci cóż się z nami stanie! I zaszlochała głośno, nie słysząc ani czując u nóg swoich płaczących rzewnie Michasia i Helenki. Po niejakim czasie opamiętała się biedna, a objąwszy dzieci drżącemi rękami przycisnęła silnie do piersi; z całej postaci wyczytałeś korne poddanie się wyrokom Nieba. Usta szeptały cichą modlitwę!

— Posłuchajcie mnie uważnie drogie dzieci, powiedziała nareszcie, usiłując zapanować nad sobą zupełnie— trzeba mi się ratować, może to chwilowa zasłona pokryła moje spracowane oczy; może Bóg miłosierny pozwoli mi jeszcze przejrzeć, w każdym razie chciałabym przed powrotem matki zrobić wszystko co można. O! Boże! Boże! jakiż to by cios był dla niej! Trzeba się więc leczyć, gorliwie leczyć. Prawda że nie ma zapasów pieniędzy, że wszystko com wykupiła znów pójdzie do ludzi, ale taka znów była wola Boga i poddaję się jej z pokorą. Słuchajcie mnie, Helenko, wszystko teraz na tobie, ty będziesz opiekunką moją. Udasz się naprzód do uczciwego doktora co leczył Michasia, opowiesz o mojem nieszczęściu i zapytasz, do którego okulisty udać się radzi; musisz dobrze zapamiętać każde jego słowo i do rad jego się stosować. Weźmiesz także wykończoną robotę, odniesiesz pani X... i poprosisz o pieniądze, dwadzieścia dwa złote to nasz cały majątek, a na jak długo, sam tylko Bóg wie. Ty zaś Michasiu, pójdź dowiedz się czy nie ma listu od mamy. Biedna! biedna matko moja! wyszeptała z boleścią. Idźcie już, idźcie dzieci kochane, sciskając je powiedziała jeszcze Aniela—potrzebuję być samą, aby zaczerpnąć sił w modlitwie do znoszenia tego srogiego krzyża.

Wyszły spłakane dzieci i przystanąwszy pode drzwiami, słyszały jak nieszczęsna ich siostra zamknąwszy się na klucz, upadła na kolana z głośnym płaczem wołając: Litości! Boże, litości!

— Pójdź do kościoła najprzód, Michasiu, dziś odpust u Świętego Kazimierza, mówiła sierotka

zalewając się łzami,—ja biegnę do doktora, a módl się gorąco, Bóg dobry zlituje się nad biedną Anielką i nami wszystkiemi. Rozeszli się w przeciwne strony zasmucone ciężko dzieci. Upłynął czas jakiś: Helenka wracała do domu smutniejsza jeszcze, powstrzymując łzy gwałtem cisnące się do oczu. Zadumana, nie spostrzegła nawet naprzeciw biegnącego Michasia, z miną dziwnie ożywioną.

— Czekam już długą chwilę na ciebie Helenko, mówił prędko,—nie chciałem Anielci przeszkadzać, bo przez drzwi słyszałem jak jeszcze modli się i płacze, ale powiedzże mi co doktór powiedział.

— Będzie za godzinę i najprzód sam zobaczy, a potem radzić będzie. Pani X. nie zastałam więc nie zapłacili, ale powiem ci jeszcze braciszku, mówiła sierotka niemogąc łez wstrzymać,—prosiłam starszej panny z magazynu, aby dla mnie dali robotę, jabym tak chętnie pracowała. Cóż kiedy mi powiedzieli, że nie mam wprawy i na sklep robić mi niepodobna. Mój Boże! co my też biedni poczniemy? powiedz Michasiu.

— Nie troszczże się już Helenko, odrzekł chłopczyk sięgając do kieszeni, — patrzno co to mamy. I podał zdumionej dziewczynie sakiewkę bardzo elegancką, napełnioną pieniędzmi papierowemi i srebrem.

— Jezus Marja! a to zkąd tyle pieniędzy?

— Kazałaś iść do kościoła, poszedłem i widać Bóg zmiłował się nad nami, bo z tamtąd pieniądze.

— Jakto? któż ci je dał?

— Nikt mi nie dawał, powiedział tym razem nieśmiało Michaś,—ja znalazłem.

— Jakto! w kościele znalazłeś i powiadasz, że twoje, mówiła ze zgrozą sierotka, z kościoła co wziąść a z ołtarza, to jedno. Cóżeś ty zrobił Michasiu? taki straszny grzech!

— Bo myślałem, że w naszem okropnem położeniu to można, a dla takiej wielkiej pani kilkanaście rubli nie wiele znaczy.

— Co ty mówisz? Boże mój! co on mówi? zawołała przestraszona dziewczynka, chwytając za rękę zmięszanego chłopca,—o jakiej to pani wspominasz, powiedz mi zaraz! powiedz prawdę zkąd masz te pieniądze?

— Przecież nie ukradłem, mówił obrażony Michaś.—Klęczałem na nabożeństwie przy jednej pani, schyliwszy się zobaczyłem ten woreczek na jej sukni, podjąłem, a gdym się namyślał czy go mam oddać, pani tymczasem wsiadła do powozu i odjechała. A że jest bogata to łatwo poznać, bo zawsze powozami i z lokajami jeździ, wiem nawet że jest pułkownikową.

— A może wiesz gdzie mieszka? spytała prędko Helenka.

— Pewno na Nowym Świecie, bo idąc do szkoły widziałem nie raz, jak jej powóz wjeżdżał do bardzo pięknej kamienicy.

— A trafisz tam?

— Trafię, odpowiedział chłopiec nie pojmując co znaczy to dopytywanie.

— Bogu dzięki! Pobiegniemy tam zaraz i jak najprędzej oddamy te nieszczęsne pieniądze, bo ja za nic w świecie do domu ich nie zaniosę. Bądź pewnym Michasiu, żebyśmy niebłogosławieństwo i karę Boską na dom ściągnęli. Ty mówisz żeś nie ukradł... oj! Michasiu! Michasiu! a jakże się nazywa zatrzymanie cudzej własności, tymbardziej kiedy wiemy do kogo ona należy? I kiedy sobie pomyślę, to zdaję mi się że te pieniądze są z ognia, że mi ręcę parzą, mówiła dziewczynka przekładając z rąk do rąk woreczek.—Biedna Anielcia musi jeszcze trochę poczekać na nas; tylko choć prędzej, dodała, biorąc za rękę ociągającego się Michasia.

— Posłuchaj mnie Helenko, powiedział ze łzami chłopiec,—podobno ja źle postąpiłem, ale rób co chcesz, ja się tej pani nie będę śmiał pokazać na oczy.

— No to mnie zaprowadź, ja sama do niej pójdę,—i pobiegli.

O kilka kroków od Wareckiej ulicy, zatrzymał się Michaś przy wspaniałym domu. Weszła w bramę Helenka, a zapytawszy o pułkownikowę, odźwierny pokazał jej pierwsze piętro. Przybywszy tam zapukała nieśmiało; po chwili otworzył drzwi niemłody już ale dobrotliwej postaci, jak się zdawało kamerdyner.

— Czy tu mieszka pani pułkownikowa?

— Tu panienko.

— A czy jest w domu?

— Właśnie tylko co wróciła z kościoła. Czy z interesem do pani pułkownikowej? spytał z dobrocią, widząc że Helenka zakłopotana milczy.

— Tak, panie mam ważny interes, ale chciałabym się widzieć z samą panią.

— Dobrze, moja ładna panienko, powiedział staruszek patrząc życzliwie na Helenkę, która rzeczywiście na śliczną wyrastała dziewczynkę,—pójdę zameldować pani, ale jakie imie lub nazwisko.

— Pani pułkownikowa mnie nie zna, ale niech pan z łaski swej poprosi, abym tylko na chwilkę widzieć się mogła.

— I owszem i owszem, proszę zaczekać w tym pokoju. Poszedł stary, a wróciwszy skinął na Helenkę i przeprowadziwszy przez parę pokoi umeblowanych z wielkim gustem i przepychem, wskazał na ostatni, w którym nasza sierotka na wygodnej kanapce zobaczyła niemłodą już damę w żałobie, bardzo szlachetnej lubo znękanej i jakby cierpiącej postaci. W drugiej stronie pokoju przy oknie, rysowała obok nauczyciela panienka lat dwunastu także w żałobie. Podobieństwo rysów wskazywało, że jest córką pułkownikowej; jakoż tak było w istocie.

— Chciałaś się widzieć ze mną dziecię, przemówiła łagodnie pułkownikowa,—powiedz w czem użyteczną ci być mogę? Helenka zmięszana, skłopotana nie wiedziała jak zacząć, zwłaszcza w obec kilku osób.

— Smiało kochanie, mówiła pułkownikowa patrząc z zajęciem na powabne dziewczę,— nie lękaj się i mów otwarcie, co cię do mnie sprowadza.

— Pani łaskawa, wyjąkała Helenka kładąc woreczek na stole,—brat mój znalazł dziś rano w kościele tę sakiewkę z pieniędzmi i odnoszę ją.

— A zkądże wiesz że to moje? spytała zdziwiona pułkownikowa.

— Bo.. bo.... znalazł ją na sukni wielmożnej pani, spłoniona a nienawykła do kłamstwa, wyszeptała sierotka.

— A czemuż zaraz mi nie oddał, ten twój brat? surowiej zapytała pułkownikowa.

— Ach pani! nie miej mu tego bardzo za złe, jesteśmy tak nieszczęśliwi! On myślał że mu Bóg daje te pieniądze, dla ratowania naszej biednej Anielki. I na wspomnienie niedoli swej przybra-

nej siostry, biedne dziewczę wstrzymać się od łez nie mogło.

— Któż ty jesteś? i co jest twojej Anielci?

— Ja jestem biedną sierotą. Pani Sosnowska matka Anielci i Michasia, wzięła mnie na wychowanie, choć sama też biedna, bo Anielcia tylko pracowała na nas wszystkich. Haftowała, szyła, myśmy jej troszkę pomagały, ale Michaś zachorował bardzo na zapalenie mózgu. Moja przybrana matka pilnowała go ciągle, ja zajmowałam się gospodarstwem i już tylko sama Anielcia nieodrywała się od roboty po całych dniach i nocach. Michaś wyzdrowiał, ale siostra jeszcze ciągle pracowała, bo chciała pospłacać długi i powykupywać zastawione rzeczy. Zrobiła to mój Boże! wszystko już było w domu, ale cóż? kiedy dziś rano, mówiła dalej dziewczynka, drząc na wspomnienie okropnej chwili,—dziś rano nasza Anielcia obudziła się.... ślepą. I tłumiony płacz sieroty, wybuchnął w gwałtowne łkania.

Pułkownikowa wzruszona do głębi duszy rzewnem a szczerem opowiadaniem dziewczęcia, przyciągnęła ją do siebie.

— Nie płacz dziecko, mówiła, sama łzy powściągając,—Bóg dobry ulituje się nad szlachetną siostrą twoją, przywróci jej wzrok, my zaś będziemy robić co można, aby wam ulżyć w nieszczęściu.

Uspokoiwszy się cokolwiek, Helenka na żądanie pułkownikowej, opowiedziała szczegółowo smutne położenie całej swej przybranej rodziny, wspomniała także o nieobecności p. Sosnowskiej.

— Biedne dzieci! biedna rodzino! mówiła jakby do siebie pułkownikowa, zamyślając się smutnie. O nędzo jakże okropną jest twoja plaga i jak wiele jeszcze usiłowań i poświęcenia trzeba, by zmniejszyć liczbę tak smutnych wypadków! Instytucje, składki, wszystko to mało, szukać po poddaszach, badać biedne zakątki,—oto co nam czynić należy, nam, których Opatrzność obdarzyła majątkiem, a tem samem podała w ręce sposoby ulżenia niedoli bliźnich. (*D. c. n.*)

CENNY NABYTEK.

„Ach! z tego zimna i z tej wilgoci,
Więdną mi biedne dzieciny,
Nawet obrazek święty się poci,
Zegar bić przestał godziny.

„Kupmyż już przecie raz furę drzewa,
Do wiosny stanie jej może;
Staś się pokłada, Basia nie śpiewa,
Kupmy raz, kupmy,—mój Boże!

„Sama pobiegnę, tanie wybiorę,
Choćby co z letnich chust sprzedać;
Może nam pomrą dzieciny chore,
Ach żeby zemrzeć im nie dać!

„Bo choć to zima, jednak na świecie
Jakoś okropnie wesoło...
Niebiesko jakby od habru w lecie,
Tyle trumienek w około!"

Tak wciąż się troska biedne matczysko
I coś z chust letnich sprzedała,
I oto cel jej życzeń już blisko:
Przed domem fura drew cała!

I przyszli zaraz tracze, pilarze,
Już fura próżna, tak mało!
Jak się to porznąć, porąbać każe,
Będzie się więcej zdawało...

I mrok zapada, koniec robocie,
Gosposia próżno wzrok męczy;
Gdzie owa fura? cenne łakocie:
Zaledwie kilka naręczy!

I wyszło drzewo, a zimą zima,
Na ścianach szron od wilgoci;
Staś już nie wstaje, wzrok tylko trzyma
Tam, gdzie obrazek się poci...

Józef z Mazowsza.

GAWĘDY WARSZTATOWE.

III. [1])

LEKI SZARLATAŃSKIE.

Było to w Nowy Rok. W znanym warsztacie siodlarskim pana Jakóba Zbrożka panował ruch świąteczny, wcale odmienny od powszedniego ruchu i gwaru pracy. W godzinach popołudniowych odwiedzali go znajomi i przyjaciele, przynosząc z sobą szczere życzenia wszelkiej pomyślności, zdrowia, szczęścia, bogactw.

Słuchając tych życzeń i odpowiadając wzajemnemi, pan Jakób parę razy odezwał się w ten sposób:

— Oj! zdrowia, zdrowia, przedewszystkiem zdrowia, to grunt. Bez tego na nic człowiekowi bogactwa, dostatki, przyjemności, bez tego o szczęściu mowy nawet być nie może.

Jeden i drugi potakiwał, któż bowiem może co powiedzieć przeciwko temu zdaniu, które codzień tylekroć powtórzonem słyszeć można. Zdrowie ciała i ducha, jest rzeczywiście pierwszym skarbem jakiego człowiek pragnie, pierwszym jakiego życzyć mu należy. Gdy przecież pan Jakób kilka razy już odezwał się w ten sposób, jeden z jego przyjaciół pan Wojciech Osmala, który kiedyś prowadził także zakład rękodzielniczy, a dziś dorobiwszy się grosza, zdał go zięciowi, sam zaś jako podeszły już człowiek, kupił sobie kamieniczkę na Bugaju i spokojnie używa owoców pracy całego życia, — otóż pan Osmala zagadnął:

— Myślałby kto, panie Jakóbie, że wam co naprawdę dolega; że się tak upominacie o zdrowie.... a przecież dosyć spojrzeć na waszą twarz, żeby się przekonać, żeście czerstwi i zdrowi jak ryba.

— Jak rydz — dorzucił ktoś inny.

— Rydz czy ryba wszystko jedno w tym razie.

— Zapewne, bo i jedno i drugie w piątek jeść można, —wtrącił jeden z obecnych.

Rozmowa byłaby może zamieniła się w wyszukiwanie podobieństw i różnic pomiędzy rybami i rydzami, z czego zapewne nie wiele nauczyćby się było można, gdyby pan Jakób nie odpowiedział na uwagę pana Osmali.

— Zdrów.... tak się to wydaje, a przecież moi kochani koledzy, wyznam wam szczerze, że się rujnuję na lekarswa i na nieszczęście nic mi nie pomaga.

— A cóż wam jest takiego — spytał pan Osmala.

— To też to, że zrozumieć nie można. Radziłem się doktorów, felczerów, cyrulików, kupowałem rozmaite leki ogłaszane w Kurjerku, używałem babskich środków.... wszystko na nic zawsze mi czegoś brak. Raz w głowie szumi, to znów jakaś chrypka, to kaszlę jak wstaję z rana, to niestrawność, najczęściej niestrawność....

— Wiecie panie Jakóbie — przerwał pan Wojciech, jabym wam może powiedział co wam jest.... tylko niech to będzie bez urazy waszej....

---

[1]) Gawędy warsztatowe I i II — patrz Op. Dom. z r. 1867 str. 189 i 268.

— A o cóż bym się miał obrazić — odparł pan Jakób, — przecież mnie, poważnego i statecznego człowieka nie będziecie posądzali o jakieś głupstwa, nadużycia, o marnowanie zdrowia zbytkami lub rozpustą. Co do tego, każdy mnie zna, że czuba nie zalewam i nocy na birbantkach nie pędzę....

— Któżby znów o tem mówił — rzekł nie dając dokończyć pan Osmala, — w każdym razie jeżeli się nie mylę, samiście sobie winni żeście chorzy....

— A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Dajmy na to, że zdrowie to zegarek i że wam się zdaje że wasz zegarek źle idzie. Niesiecie go do zegarmistrza, on go nakręca i powiada wam: żebyście byli spokojni, że zegarkowi nic nie jest, ale wam się ciągle wydaje że się zegarmistrz nie poznał, i zanosicie wasz zegarek do szklarza, do szewca, do kołodzieja, ba nawet do stróżki z przeciwka która potrafi zażegnywać i kłaść kabałę, albo do owczarka, który powiada że potrafi leczyć, chociaż w istocie nawet owiec na paszy dobrze upilnować nie umie.

— A to wam się przywidziało, panie Wojciechu — odparł śmiejąc się pan Zbrożek, — i któżby zaś zegarek nosił do reperacji do pastucha albo do kabalarki.

— Ten, kto zdrowie swoje nosi do naprawy do ludzi, którzy się leczyć nie uczyli, do szarlatanów i wydrwigroszów spekulacyjnych na ciemnotę, — ten, kto kupuje pierwsze lepsze tajemne lekarstwo ogłoszone w gazecie z pompatycznym dodatkiem, że uzdrawia wszystkie choroby począwszy od odcisków a skończywszy na suchotach.

— Ot, gadacie panie Wojciechu — odrzekł pan Jakób, — niby to ja jeden na świecie wierzę, a jeżeli nie wierzę, to chcę doświadczyć i spróbować tych rzeczy co ogłaszają po gazetach, a które przecież ni jednemu pomogły?... Niby to ja jeden powstaję na doktorów, że się nie znają na chorobach...

— Tak, a szewcy nie znają się na butach, a wy na siodlarskiej robocie, panie Jakóbie... — przerwał pan Osmala, — cobyście powiedzieli, gdyby mi tak przyszła ochota kupić sobie konia i gdybym uprząż obstalował nie u was ale u kapelusznika....

— Głupstwo, z przeproszeniem waszem, panie Wojciechu — odpowiedział pan Jakób, — co siodlarz to przecież nie doktor. Doktorzy sami powiadają, że nic nie wiedzą. Niedawno byłem na prelekcji jednego z nich, homeopaty, i nasłuchałem się dosyć, że allopaci nie potrafią leczyć; później wpadła mi w rękę jedna książka pisana przez allopatę i dowodząca, że homeopatja to głupstwo. Przypuszczam, że ci panowie znają się albo nie znają się na swojem rzemiośle, to cóż z tego wyniknie?... Jeżeli się znają, to trzeba wierzyć na słowo allopatów: że homeopatja na nic się nie zdała, a na słowo homeopatów: że allopatja do niczego—a jeżeli się nie znają, to naturalnie, że nic choremu nie pomogą czy są homeopatami czy allopatami, choćby i jedna i druga były najdoskonalsze. W obu wiec razach na cóż się zdali doktorzy?....

Wszyscy obecni spojrzeli na pana Osmalę, który nie przerywał panu Zbrożkowi. Każdy był niezmiernie ciekawym, jak też pan Wojciech zdoła pokonać tak jasne i stanowcze, jak się zdawało, rozumowanie pana Jakóba.

Pan Osmala pomyślał chwilę i odrzekł:

— At, zagmatwaliście tylko rzecz, panie Jakóbie, z przeproszeniem waszem i basta. Co nam się mięszać do doktorskich sporów, albo my to się znamy na tem, albo to zrozumieć możemy?... Mnie nie o to chodziło czy allopatja czy homeopatja lepsza, jest to rzecz mojem zdaniem, której stanowczo teraz rozstrzygnąć nie można i o której przyszłość dopiero wyrzecze, a zdaje mi się że ta przyszłość powie, że allopatja dobra na jedne choroby, a homeopatja na drugie. Ale przypuściwszy nawet że macie racją, że doktorzy nie znają się na leczeniu, to czyż w tem leży dowód, że się na niem zna jaki tam bezimienny tajemniczy szarlatan, który powiada że jego pigułki albo proszki ze wszystkich chorób uzdrawiają, czyż to dowodzi, że lepiej leczy jaki tam pastuch albo baba wiejska?... Sądzę, że tego wcale z rozsądkiem utrzymywać nie można.

Znać było po obecnych, że te słowa trafiły do ich przekonania. W istocie były one prawdą niezbitą. Powiedzieć: że doktorzy nie znają się na chorobach i oddać się w ręce szarlatanowi; odepchnąć ludzi, którzy całe życie swoje poświęcili jednej nauce, a przywołać do siebie dorywczych praktykantów, jakichś Dulcamarów z *Napoju miłosnego*, którzy wczoraj innym a jutro innym jeszcze sposobem na chleb zarabiać będą,— jest co najmniej niedorzecznością, chociaż niestety niedorzecznością bardzo pospolitą.

Za dawnych czasów, w wiekach ciemnoty, ludzie wierzyli w jakieś nadprzyrodzone stosunki i moce tych, którym powierzali staranie około swojego zdrowia; dziś wierzą w uniwersalne leki poparte szumną gazeciarską reklamą, i w cudowne własności wzroku albo dotknięcia jakiego Łukaszka albo znowu Jakóba. Byłby to ten sam stopień niewiadomości i ślepoty co dawniej, gdyby się do tego niełączyło fatalne jakieś uprzedzenie: że ci którzy do nauki dochodzą trudną drogą wytrwałej pracy, niczego nauczyć się nie mogą, że dla nich tylko jest niedostępnem to, co każdy zręczny spekulant umiejętnem roztrąbieniem jakiej *revalenty* lub t. p. specyfiku osiągnąć może.

Pan Jakób próżno szukał odpowiedzi, pan Osmala tak prawił dalej:

— W medycynie trudniej poznać chorobę, niż przepisać na nią lekarstwo odpowiednie we właściwej ilości i właściwej porze, niż powiedzieć co przy takiem lekarstwie jest nieszkodliwem, a co zupełnie jego skutek zepsuć może. Otóż jeżeli co do poznania się na chorobie widzimy, że się doktór czasem omyli,—to szarlatan i niepowołany lub niedouczony praktykant, pomylić się musi *prawie zawsze*; jeżeli trafi to przypadek, tak jak co do doktora przypadkiem jest, gdy nie trafi. Tak samo co do lekarstwa. Szarlatan tylko przypadkowo może zadać coś co pomoże, doktor zadaje to co doświadczone. Jedno i to samo lekarstwo w tej samej chorobie dane w początku albo później, w mniejszej albo większej ilości może wyleczyć lub zgubić. Zkąd o tem może wiedzieć szarlatan, kiedy przypuszczacie, że tego nie wie doktor, który u łóżka tysięcy chorych, kierowany przez najpierwszych mistrzów swej sztuki najpiękniejsze lata swoje przepędził?... Gdyby ktoś ogłosił: że robi buty na wszystkie nogi, rękawiczki na wszystkie ręce, okulary na wszystkie oczy, — ludzie śmieliby się z niego; jak ktoś ogłosi: że wynalezione przez niego pastylki leczą na wszystkie, albo prawie wszystkie choroby — ludzie kupują. Gdzież tu sens?...

— To prawda — odezwało się kilka głosów.

Pan Jakób skonfundowany, nie przyłączył się do tego potwierdzającego chóru. Słuchał uważnie i w milczeniu, a po zamyślonej jego twarzy znać było że jeszcze nie daje za wygraną, jeszcze jakiegoś argumentu przeciwko doktorom szuka.

— Wszystkie leki, jakie wam doradzono — mówił dalej pan Wojciech, — i na które szarpiecie swoją kieszeń, dadzą się podzielić na trzy kategorje....

— Eh! było tego więcej — bąknął niechętnie pan Zbrożek.

— Domyślam się, były jednak trojakiego rodzaju....

— Gdzie tam, panie Wojciechu... pigułki, proszki, mikstury, pastylki, ekstrakta, fosforany, to już sześć... a na tem nie koniec.

— Nie o to idzie, panie Jakóbie. Zaraz wam okażę, że

kategorji było trzy. Najprzód takie, które wam mogły pomódz, ale takich musieliście najmniej znaleść, bo się uskarżacie aż do dzisiaj; to wam powinno posłużyć za dowód, że w niezliczonem mnóstwie szarlatańskich leków, trafić na taki, który rzeczywiście pomoże, tak samo trudno jak wygrać na loterji. Powtóre: na drugiem miejscu stawiam takie, które ani pomódz ani zaszkodzić nie mogły; takich podobno jest najwięcej. Szarlatani myślą sobie: ,,możemy sprzedawać z czystem sumieniem takie rzeczy, kto się chce oszukać niech się oszukuje, nie nasza wina że głupi." Te leki nie zaszkodziły wam co prawda, ale przyznacie sami że szkoda pieniędzy, któreście na nie wydali, lepiej było bodaj przez okno je wyrzucić, bo wyrzucając przynajmniej niepotrzebowalibyście zmuszać się do picia lub jedzenia rzeczy nieprzyjemnych lub wstrętnych. Potrzecie: wreszcie niektóre z tych leków mogły wam zaszkodzić, bo i takie bywają co mieszczą w sobie trucizny, jak tego wiele razy rozbiory chemiczne dowiodły. Otóż tutaj za własne pieniądze kupowaliście sobie chorobę, śmierć nawet i kto wie, czy to wszystko co wam dzisiaj dolega nie poszło z przeładowania się rozmaitemi ingredjencjami sprzecznej ze sobą natury. (*d. n.*)

POGADANKA O METEORACH.

W Czwartek 30 Stycznia r. b., gdy już warsztaty przestały funkcjonować, gdy umilkł huk młotów i kowadeł, gdy odpoczynek zajął miejsce pracy, — do drzwi starego nauczyciela R. zastukało nieśmiało kilku różnego wieku chłopaków, z których najstarszy mógł mieć lat ośmnaście, a najmłodszy dziewięć lub dziesięć. Jeden pomiędzy nimi był uczniem gimnazjalnym, dwaj wyglądali na terminatorów kunsztu szewckiego, a najstarszy po uczernionej twarzy i rękach, po fartuchu skórzanym i bluzie niebieskiej, zdawał się być czeladnikiem ślusarskim.

— Kto tam? — zapytał nauczyciel otwierając drzwi, a spostrzegłszy znane sobie oblicza chłopaków, dodał uprzejmie: Wejdźcie, wejdźcie moje dzieciaki...

— Myśmy tu przyszli do pana professora, rzekł śmielszy od swych towarzyszy uczeń, z prośbą, by objaśnił nam dzisiejsze zjawisko. Ja im mówiłem że to meteor, ale nie chcą mi wierzyć; jeden powiada, — że to niebo się otwierało, drugi że to błyskawica z grzmotem, trzeci że kometa, — słowem każdy mówi co innego i chce obstawać przy swojem. Otóż, by choć raz rostrzygnąć ten spór, rzekłem im: Po co się mamy sprzeczać, kiedy pan professor, co zawsze taki łaskaw na nas, pewnie objaśni nam to zjawisko. Dajmy więc pokój sporom, a idźmy wszyscy do pana professora, i...

— I poszliście do mnie, — podchwycił professor, za co wam szczerze dziękuję, bo widać że pokładacie we mnie zaufanie. Nie wiem czy zadowolę zupełnie waszą ciekawość, bo nauka nie wyrzekła jeszcze ostatecznego słowa o tem zjawisku, ale chętnie podzielę się z wami tem, co sam czytałem i słyszałem o meteorach.

— A co, widzicie? — zawołał uczeń z miną tryumfującą, i pan professor mówi, że to meteor! Bo jakże być może inaczej, kiedym go własnemi widział oczyma — leciał jak kula olbrzymia do czerwoności rozpalona...

— A ja upatrzyłem w niej podobieństwo do pochodni ognistej, — zauważył czeladnik ślusarski.

— Gdzie zaś pochodnia, — rzekł mały szewczyk, kiedy to błyskało jak błyskawica, a grzmiało jak grzmot.

— Że grzmiało, to prawda, — odparł kolega poprzedzającego, ale błyskawica była jakaś nienaturalna, bo nie żółta lub czerwona ale zielonawa, zupełnie taka jak ogień bengalski, któryśmy latem w ogrodzie Saskim widzieli.

— Ej, co tam gadać napróżno, — zawołał z niecierpliwością uczeń, lepiej milczmy i słuchajmy co pan professor powie.

— Zjawisko, któreśmy dziś o godzinie 7 widzieli przelatujące nad miastem, — zaczął nauczyciel, jest dość rzadkiem i pospolicie nazywa się *meteorem* albo *aereolitem*. Obu tych jednak wyrazów mięszać nie należy: bo meteor oznacza właśnie to zjawisko, któreście widzieli, a więc kulę lub bryłę jasną w nocy, ciemną we dnie; aerolitami zaś są kamienie, powstałe z pęknięcia powyższych meteorów...

— Przepraszam pana professora, że przerwę, — zauważał czeladnik ślusarski, więc i w tym meteorze były kamienie?

— Nie inaczej moje dziatki; ten huk któryście słyszeli po zgaśnięciu meteora, był właśnie zwiastunem jego pęknięcia. Gdy zaś meteor taki, który jest niczem innem jak massą kamienną — pęknie, rozsypują się z niego kawały kamieni rozmaitej wielkości, zwane aerolitami, czyli powietrznemi kamieniami.

— Proszę pana nauczyciela, zapytał uczeń, więc taki kamień mógłby zabić człowieka, gdyby go trafił?

— Nieinaczej, moi drodzy, aerolity ważą niekiedy kilka tysięcy funtów, a czasem liczba ich tak jest wielką, że zjawiska takie znane są w dziejach pod nazwą deszczu kamiennego. W r. na przykład 1803 w Normandji, wśród dnia ukazał się meteor, po którego pęknięciu znaleziono 2000 aerolitów różnej wielkości. Jaka zaś jest gwałtowność ich upadku, z tego wnieście, że zagłębiają się w najtwardszą ziemię na kilka stóp głębokości. Nawet i skała oprzeć się im nie zdoła. A około połowy XVII wieku jeden z takich aerolitów rozwalił wieżę więzienia w Warszawie.

— Więc aerolity równie mogą być niebezpiecznemi jak pioruny?

— Nieinaczej, gdyby również często jak tamte się przytrafiały. Ale są to zjawiska tak rzadkie, że w każdym takim meteorze uczeni od wieków zbierają wiadomości, notują najdrobniejsze szczegóły towarzyszące temu zjawisku, a same aerolity szczegółowo badają i w muzeach przechowują. Co większa, pomimo licznych świadectw o spadaniu aerolitów, był czas, że uczeni zwątpili o ich istnieniu i dopiero przed kilkudziesięciu laty wierzyć w nie zaczęli.

— Ale proszę pana professora, zapytał się uczeń, jeżeli meteor jest tylko kamieniem to dla czego świeci?

— Świeci, bo jest rozpalony, i to nawet tak mocno, że skutkiem tego rozpalenia pęka i po pęknięciu długo jeszcze jest gorący i mocną do koła szerzy woń siarki.

— A ten kamień czy jest taki sam, jak znajdywane na powierzchni ziemi? — zapytał któryś.

— Bynajmniej, wszystkie aerolity do siebie są podobne ale zupełnie są inne i ze składu i z powierzchowności od zwykłych kamieni. Przedstawiają się one w postaci kamieni nieforemnych, nieco zaokrąglonych, których nierówna powierzchnia pokryta jest jakby emalją czarną na pół linji grubą, wewnątrz po przełamaniu są ziemniste, koloru szarego. Niektóre z nich są nadzwyczajnej twardości, inne przeciwnie dość kruche. Od wody są cięższe 3 i pół razy. Ciała wchodzące do ich składu zawsze prawie są jednakowe, a mianowicie: żelazo, nikiel, krzemionka, trochę siarki, wapna, magnezji, gliny, tlenków chromu i manganezu, a czasem soda, potaż, woda, węgiel, kwas solny, miedź, cyna. Głównemi wszakże częściami składowemi aerolitów, są żelazo i krzemionka. Co większa, jest nawet rodzaj aerolitów z samego tylko żelaza się składających i te niezmiernej nieraz wielkości dochodzą. W Brazylji w prowincji Bahia, znajduje się massa na 7 stóp długa, 4 stopy szeroka i 2 stopy gruba, ważąca około 14,000 funtów. W okolicach Trewiru znajduje się inna mniejsza massa, ważąca 3000 funtów. Aerolity jednak żelazne bardzo rzadko się przytrafiają i zaledwie kilka znanych jest uczonemu światu.

— Proszę pana professora — zapytał jeden z terminatorów, a skądże one pochodzą? Bo jużciż z obłoków spadać nie mogą.

— A dlaczegożby nie? odrzekł nauczyciel, jak sądzisz?

— Tożem przecie czytał gdzieś, że obłok to niby gęsta mgła ale nie żadne twarde ciało, a tem więcej nie kamień.

— Bardzo dobrze — odparł nauczyciel, dzielny jak uważam z ciebie chłopak, bo lubisz czytać i pamiętasz przeczytane. Zkąd pochodzą meteory, po dziś dzień jest dla uczonych zagadką; różni różnie ich pochodzenie tłumaczą. Jedni utrzymywali: że pochodzą one z wulkanów ziemskich, ale dziś nikt już w takie dowodzenie nie wierzy — raz, że są one zupełnie innej natury jak ciała przez wulkany wyrzucane — a powtóre, że jakiegożby to trzeba było wulkanu i jakiej siły, by takie massy kamienia tak wysoko i daleko wyrzucić. Inni znów przypuszczają, że nie z ziemskich ale księżycowych pochodzą one wulkanow, ale i to jeszcze pytanie czy są na księżycu wulkany, a jeżeli są to czy podobna aby taką siłę miały, iżby wyrzucane przez nie kamienie aż na planetę naszą spadły? Byli i tacy co przypuszczali, że z gazów unoszących się w ziemskiej atmosferze biorą one początek: ale to przypuszczenie więcej niż nieprawdopodobne. Wreszcie najprawdopodobniejsze jest twierdzenie nowszych uczonych, że aerolity są albo odłamami jakichś planet lub ciał niebieskich, albo same są małemi planetarnemi ciałami, które zeszły ze swej drogi i ulegając sile atrakcyjnej, na ziemię pospadały. Zresztą są to wszystko domysły, które kiedyś zostaną może wyjaśnione, ale dziś — błąkają się w krainie przypuszczeń.

— Ale to rzecz dziwna — zawołał któryś, że aerolity są gorące, a nawet do czerwoności rozpalone.

— Nie tak to i dziwno, jak się wam zdaje, moje dzieci, — odparł nauczyciel. Wiecie zapewnie, a nie jeden z was wié o tem z doświadczenia, że dwa ciała tarte o siebie mogą się rozgrzać do najwyższego stopnia a nawet zapalić. Dzicy ludzie, którzy nie mają krzesiwek i zapałek, trąc dwa kawałki drzewa wydobywają z nich ogień. Toz samo i u nas często pomimo woli się zdarza, że nienasmarowane smołą koła powozu, przez długie tarcie mogą oś zapalić. Tak samo trąc pilnikiem żelazo lub piłując piłą drzewo, możemy wywołać nadzwyczajne gorąco. Otóż i tu rzecz się ma tak samo. Zkądkolwiekbądź meteor pochodzi, w każdym razie przebiega ogromne przestrzenie, a przebiegając doznaje oporu czyli tarcia od atmosfery, skutkiem czego rozgrzewa się do czerwoności i w przelocie swym tworzy dokoła niby tęczę jaskrawą, która istotnie przypomina ogień bengalski.

— Ciekawa rzecz — zauważał czeladnik ślusarski, jak też daleko aerolit ten spadł od Warszawy?

— Kto wié — odparł nauczyciel, nie zdaje się mi jednak by spadł dalej nad dziesięć mil. Zresztą, jeżeli przy spadaniu został dostrzeżony, pewnie go odszukają i przywiozą do warszawskiego mineralogicznego Gabinetu, gdzie będziecie mogli chwalebną swą ciekawość zaspokoić.

Na tem skończyła się pogadanka z nauczycielem, który rozstrzygnął wszelkie wątpliwości ciekawych chłopaków i pozwolił im zapatrywać się jasno na przedmiot, tak fałszywie częstokroć przez ludzi nieoświeconych tłumaczony.

Rzemieślnik z Mostowej ulicy

KRET I KRETOMYSZ.

Pierwsze tu wymienione zwierzątko należy do rzędu owadożernych ssawców, czyli zwierząt ssących. Jest ono powszechnie znane i dla tego nie wymaga opisu swojéj postaci, tym więcej, że dołączająca się rycina zadość temu czyni przedstawiając zarazem dla lepszego rozróżnienia i drugie podobne zwierzątko, należące także do tegoż rzędu drapieżnych a nazywające się właściwie *piszczek* lub *pilch* albo *ślepuszka* (mylnie *ślepiec* lub *pilika* zwane niekiedy); nazwa bowiem *kretomysz* jest tylko książkową, używaną jeno przez zoologów czyli zwierzoznawców.

Kret żywi się różnem zimnem robactwem a mianowicie dżdżownikami czyli glistami ziemnemi, pędrakami, chrząszczami i żukami oraz gąsienicami ziemnych robaków; pożera także ptaki, żaby; raki, które tyłem do swej jamy wciąga i tam zjadłszy najprzód wnętrzności, zjada potem i kości zostawiając tylko skórę. Jest on więc wielce żarłoczny, a jako taki wyniszcza wielkie mnóstwo owych szkodliwych wszelkim roślinom żyjątek i staje się przez to bardzo użytecznem zwierzęciem dla ludzi, którzy powinni dla własnej swej korzyści chronić je od zagłady do pewnej przynajmniej liczby, wymiarkowanej stosownie do obszaru i potrzeby swojego ogrodu lub pola, a nie zabijać i wytępiać z taką zaciętością, jak to robią prawie wszędzie w tem błędnem przekonaniu, że to krety niszczą rośliny objadając ich korzenie, kiedy tymczasem rzecz się ma przeciwnie, bo kret jak powiedzieliśmy jest owadożernym a nie roślinożernym. Cała szkodliwość kretów w ogrodach i łąkach ogranicza się do tego, że ryje nory i wysypuje kópki ziemi, które rzeczywiście mogą niekiedy uszkodzić roślinę; ale te szkody są nic nie znaczące w porównaniu z temi korzyściami, jakie człowiek odnosi z wytępienia owego szkodliwego robactwa, które niewidocznie dla oka naszego w krótkim czasie mogłoby zniszczyć wszelką roślinność, gdyby nie było wytępiane przez kretów. Co się tycze owych kretowin, wypychanych na powierzchnię ziemi — to kto wie czy i one nie przynoszą nam korzyści, boć wiadomo jest, że przegrzebywanie i wyrzucanie na wierzch martwej czyli nierodzącej dotąd ziemi, nie może być nieużytecznem dla roślinności.

W każdym więc razie wytępianie doszczętne kretów, należy uważać jeżeli nie za szkodliwe, to przynajmniej za niepożyteczne czyli grzeszne.

Wszystkich gatunków tego zwierzątka żyjącego po wszystkich częściach świata, znanych jest do dwudziestu. Przedstawiają one dość znaczne różnice i z tego powodu rozdzielają je naukowo na cztery następujące podrodzaje, według różnic zębostanu, liczby palców u nóg przednich i budowy tych członków, obecności lub niedostatku ogona i zakończenia pyszczka: 1) *kret właściwy;* 2) *pletwokret;* 3) *kret łuskonogi* i 4) *złotowłosy.* Z tych tylko pierwszy znajduje się w krajach polskich.

Kretomysz podobnież jak kret, przynosi człowiekowi więcej pożytku niż szkody. Zwierzątko to także żywi się takiemże robactwem jak kret, z tą *tylko* różnicą, że jeno w największym głodzie jé ziarno zbożowe lub korzonki i to niechętnie. Różni się zaś od kreta długim pyszczkiem i takim ogonem, który nadaje mu pewne podobieństwo do myszy. Zwierzątko to jest różnej wielkości i żyje w całym świecie i w różnorodnych klimatach. Największa liczba piszczka trzyma się zarośli suchych lub błotnistych, w ogrodach i t. p. miejscowościach; niektóre tylko wchodzą do budynków i mieszkań ludzkich, kryją się po norach i jamach, ale same ich nie kopią. Koty je duszą, lecz nie jedzą, zapewne skutkiem silnej woni jaką cuchną. Naturaliści dzielą

ten rodzaj na trzy podrodzaje: 1) *kretomysz właściwa*; z tych dwa gatunki, znajdują się w naszym kraju; 2) *ślepuszka* (gatunek wodny), którego jest i u nas jeden gatunek; oraz 3) *ziemiomysz* (u nas są dwa gatunki), Oczy obu tych zwierzątek są bardzo małe, wielkości makowego ziarnka i tak obrosłe w około sierścią, że zaledwie posługują im do ujrzenia światła kiedy wyjdą ze swej nory. To też dla tego wielu ludzi jest jeszcze dotychczas tego przekonania, że kret (tego bowiem pospolicie biorą za jedno z kretomyszą i odwrotnie) nie ma wzroku — bodaj czy to mniemanie nie jest także jednym więcej powodem do bezrozumnego i zaciętego wytępiania tego zwierzęcia, jakoby upośledzonego przez samego Stwórcę świata, a zatem niegodnego życia. Przypuszczenie to opieramy na kilku słowach, jakie się nam udało usłyszeć z ust jakiegoś prostaczka podczas zabijania kreta oraz na tem, że podobną nienawiścią pała wielu ludzi względem ziemnej żaby zwanej ropuchą, za którą dzisiaj podlondyńscy ogrodnicy płacą francuzkim kupcom po 15 kop. sr. za jedną sztukę i z wielką troskliwością pielęgnują w swoich ogrodach warzywnych, jako najlepszych swoich pomocników w oczyszczeniu ogrodów z robactwa.

Jak pożytecznym obrońcą roślinności jest kretomysz i kret, przekonano się z doświadczenia robionego przez naturalistów, z którego pokazało się, że pierwsza zjada na dobę dwa razy tyle pokarmu ile sama waży, a drugi dwa razy więcej. Ileż więc jedno takie zwierzątko wytępia rocznie owych niszczycieli ogrodów i pól? Tak jeden kret potrzebuje na rok z jakie dwa korce rozmaitego robactwa; a owe dwa korce robactwa, ileżto potrzebuje korzeni roślinnych aby się nasyciło?— ale o to mniejsza, gdyby się tylko na tem ono ograniczyło co rzeczywiście spożyć może. Nie tak się jednak dzieje: bo robactwo ziemne szukając pożywienia przegryza mnóstwo korzeni w samym środku nie zjadając kawałków i wciąż idąc dalej, niszczy wszystko na co trafi. Najszkodliwszemi są pędraki, które w trzecim roku swego życia, przegryzają nawet korzenie młodych drzew i na palec grube. Niedawno temu pod miastem Potstamem musiano przekopać blisko pół trzecia morga murawy zniszczonego przez pędraków, których przy tej robocie zebrano dwanaście korcy. Nie byłoby tego potrzeba, gdyby tam były krety.

Kret.

Nie dziw więc, że kret gdy znajdzie dostatek pożywienia buduje tam sobie mieszkanie o kilku izbach, i że przy tej robocie wyrzuca kupki ziemi. Nie należy mu w tem przeszkadzać; — niechaj urządzi jak może, bo w pobliżu tego miejsca niewątpliwie znajduje się wielkie mnóstwo owadów— kret bowiem ucieka z tego miejsca, gdzie mało znajduje pożywienia.

Podobnież mylnym jest zarzut czyniony kretowi, że swojem grzebaniem przyczynia się do przerywania grobli stawowych; sprawcami bowiem tych szkód są czarne szczury wodne albo brunatne czyli wędrowne, oraz prawie wszystkie gatunki myszy. Z resztą kret nie taki głupi, aby miał ryć w twardej, ubitej grobli, kiedy mu wygodniej pracować w miękkiej ziemi, jaką znajduje w ogrodach, na polach, łąkach i pastwiskach, gdzie i więcej robactwa niż w ubitej nasypce. Pożytecznym jest nadto jak utrzymują niektórzy, że jest także śmiertelnym wrogiem myszy i młodych szczurów, które pożera bez ogródki jeśli tylko uda mu się je schwycić, gdy się schronią do jego mieszkania; posługuje się zaś w tym wypadku swemi kłami, podobnemi do kłów łasicy lub kota. Opatrzność dała temu zwierzątku jeszcze jedno przeznaczenie: jest on budowniczym i to bezpłatnym dla tych wszystkich zwierząt, które podobnie żyją w norach, a nie mają zdolności urządzania ich sobie. Temi są oprócz kretomyszy łasice a nawet tchórz— ów nieubłagany także wróg wszystkich szczurów i myszy.

„Kto wytępia krety, pielęgnuje i rozmnaża robactwo, a tym sposobem niszczy plony rolne"—powiedział jakiś naturalista; Bóg bowiem nic nie stworzył takiego na świecie, coby nie było potrzebnem i pożytecznem, tylko dotąd człowiek poznał jedno a drugie jest jeszcze dla niego okryte tajemnicą, którą starać się odkryć jest obowiązkiem każdego, aby przez niewiadomość lub błędne pojęcie nie gwałcić woli Bożej i wiekuistego porządku przyrody, co zawsze prędzej lub później sprowadza szkodę człowiekowi.

Ad. N. Nakęski.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— **Panu Wł. N. w Warszawie** „Opowiadanie chłopczyka", nie kwalifikuje się do druku.

Prawdziwa poezja może się obejść nawet bez rymu—ale rym bez poezji i myśli, jest tylko niezrozumiałym dla ucha i duszy dźwiękiem. Pracuj pan, czytaj lepszych naszych poetów, a kto wie, może z czasem i talent się rozwinie.

—**Panu A. Z. z Sieradza.** Listu pańskiego nie ogłaszamy, bo i zasad pańskich nie możemy dzielić. To tylko dodamy w odpowiedzi: że niekażdemu wolno, owszem nikomu niewolno dzieci swych wychowywać jak mu się spodoba. Wychowanie porządne dzieci—to obowiązek, to odpowiedzialność surowa przed Bogiem i społeczeństwem. Więc gdyby się komuś *spodobało* swoje potomstwo wychowywać źle, na zakałę w przyszłości, czy i wteneczas powiedziałbyś pan że mu to wolno? Azatem nie każdemu, i zapewniamy pana, że nikomu nie wolno swych dzieci wychowywać według swego widzimisię, ale tylko tak, aby z tych młodych płonek kiedyś mogli być dobrzy obywatele, sami gospodarze rodzin, porządni rzemieślnicy, fabrykanci, artyści i t. p.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.